

# *Wielki dzień generała Cameroną*

Napisał: Wiktor Żwikiewicz



Zefirek, błądzący w tytoniowym dymie nad głowami zebranych przy okrągłym stole, nie potrafił rozproszyc aureoli otaczającej złote dystynkcje na ramionach generała Camerona.

– Podsumujmy wnioski, panowie.

Na twarzach obecnych – wyraz aprobaty.

– Dzięki uprzejmości i geniuszowi profesora Ponnamperuma – generał złożył ukłon w stronę siwego jak gołąb człowieczka z monoklem przed wylupiastą gąlką lewego oka – stanęła przed nami perspektywa uzyskania totalnej przewagi nad blokiem antagonicznych państw. Czy ktoś zna powody, dla których nie mielibyśmy wykorzystać tej szansy?

– Generale! – głos pełen wyrzutu. – Przecież tu sami swoi!

Generał uśmiechnął się z satysfakcją.

– Wybaczcie, panowie. To tylko mała próba, nigdy nie wątpiłem w zgodność naszych poglądów.

– Dziękujemy za zaufanie.

– Wspólnie zadziwimy jeszcze świat.

– Tak jest!

Generał wraca do rozrzuconych na stole papierów.

– Taak... A więc, jak wspomniałem, profesor Ponnamperum przedstawił nam model akceleratora czasu oraz sporządzony w konsultacji z mną projekt jego wykorzystania, który, przynajmniej bez ogródek, niezmiernie nas zadowala. Mam rację?

– Tak jest!

– Wspaniale, wspaniale. Panowie jesteście oczywiście dobrze wprowadzeni w sedno zagadnienia, tym niemniej pozwolę sobie przedstawić kilka kluczowych punktów planu.

Generał podniósł się sprężysto i, założywszy lewą rękę za plecy, drugą zaś kładąc na piersi pod mundur ruchem znanym z historii, począł się przechadzać po dywanie od dębowego stołu do zawieszzonego ciężką storą okna.

– Primo: generator czasu wytwarza pole tak zwanego czasowego przeskoku, skierowanego w jedną tylko stronę, mianowicie w przyszłość. Słowa padają w ciszy niezmy-

cięcia szablą, krótkie, ostre, nieomyłne. – Secundo: tysiąc dwieście czterdzieści trzy aparaty odpowiedniej mocy, rozmieszczone wzdłuż granic, obejmą polem działania cały kraj. Tertio: gwałtowne przyspieszenie upływu czasu na tym obszarze może sprawić, że w ułamku sekundy czasu neutralnego, czyli obowiązującego pozostałą część globu, upłynie – dajmy na to – pięćdziesiąt lat.

Marzyielskie westchnienia.

– Z kolei spróbuję naświetlić aktualną sytuację międzynarodową. – Generał podnosi głos. – Co prawda, postęp techniczny jest ostatnio tak szybki, że nie nadążamy, e-e... nie nadążamy częstokroć trzymać ręki na pulsie rewolucyjnych...

– Generale!

– Och, przepraszam... gwałtownych przemian zachodzących w nauce, lecz, niestety, dzieje się tak nie tylko w naszym kraju, i zachowana jest równowaga sił między stronami. Sytuacja ta wyklucza szansę uzyskania przez którąś z nich zdecydowanej przewagi. Jednak dzięki wynalazkowi profesora Ponnamperuma możemy zmienić na swoją korzyść ten nie zadowalający nikogo z nas stan rzeczy.

Ktos gromkim brawem daje upust swemu uczuciu zadowolenia ze zbieżności poglądów.

– Proszę wyobrazić sobie – kontynuuje generał – jaka przepaść w rozwoju potencjału militarnego i gospodarczego oddzieli naszą ojczyznę od reszty świata z chwilą, gdy przestaną działać akceleratorzy czasu!

– Lecz zerwana zostanie łączność ze światem zewnętrznym – zauważa czyjś głos.

– A po coż nam ona? Dla znajdujących się poza siłowym polem upłynię raptem parę sekund.

– Słońce...

– W tym jedyny szkopuł, gdyż w obrębie czasowego kolapsu, jaki się nad naszą ziemią zamknie, nastanie noc całkowita i wszystko zależy, jak długo poradzimy sobie ze sztucznym oświetleniem, koniecznym w dodatku do zachowania ciągłości procesu fotosyntezy roślin. Ale nasi uczeni bez wątpienia ten problem rozwiążą.

– Generatory czasu znajdują się w obrębie pola czy na zewnątrz?

– Wewnątrz.

– Czyli można je będzie w razie konieczności wyłączyć?

– Oczywiście.

– Więc czemu nie dokonać przeskoku o lat sto za jednym zamachem?

– Dwiescie!

– Tysiąc!

Na twarzy generała Camerona pojawia się dobroduszny, ojcowski uśmiešek.

– Spokojnie, panowie. Spokojnie. Wystarczy. Przecież wewnątrz pola „czasowego przeskoku” miną całe lata wytężonej pracy. Ludzie nadal będą się rodzić, pracować i umierać. Nauka i technika pójdą naprzód milowymi krokami, zostaną dokonane wynalazki o niesłychanej strategicznej doniosłości, wobec których broń jądrowa okaże się pineską rzuconą pod gąsienicę rozpędzonego czołgu. Rozwinie się przemysł, rozkwitnie gospodarka i... Bóg raczy wiedzieć, co jeszcze.

– Genialne!

– Kto dzisiaj zda sobie sprawę z dystansu, jaki oddzieli zatrzymany w bezruchu świat od naszej ojczyzny? Przecież dosłownie każdy dzień przynosi nowe zmiany, a tu dla jednych miną lata, gdy drudzy nie postąpią do przodu ani o jeden krok nawet!

General otarł chusteczką zroszone potem czoło.

– Czy można? – niepewny głos z końca sali.

– Pan, profesorze? Ależ proszę.

Nieposłuszny monokl wyskakuje ciągle spod namarszczonej brwi i palce pokrytej rudymi włosami ręki prawie nie odrywają się od krzywego nosa.

– Chciałbym, tak... właśnie. Chciałbym zwrócić uwagę panów na pewien mankament, tak... mojego projektu. Właśnie. Otóż jeśli przypadkiem, oczywiście przypadkiem, zasada mojego wynalazku przedostanie się w ręce innego mocarstwa, może nastąpić, oczywiście, dość niezwykle wyścig...

– Rozumiem! – General w lot chwytą istotę rzeczy. – Każde z państw postara się

o maksymalne przyspieszenie czasu na swoim terytorium, aby tym samym zdystansować przeciwnika.

– Jeden drugiego!

– Wyścig w czasie!

– Niebezpieczne!

General Cameron nachylił się nad stołem i powiedział tryumfalnym głosem:

– Spokojnie, panowie! Jeśli pozwolicie, przedstawię wam plan następny, który pozwoli nam wykorzystać zdobytą przewagę, zanim jeszcze szczegóły planu przedostaną się do wiadomości strony przeciwnej. Poźniej nie trzeba będzie liczyć się z nikim.

– Na czym polega ten plan?

– Uderzenie i desant na terytorium przeciwnika natychmiast po zakończeniu operacji przygotowanej przez profesora Ponnamperruma. Na przygotowania czasu wystarczy, a zapalu na pewno nie zabraknie.

Fala powszechnego aplauzu.

– Tymczasem zaś przystąpmy do głosowania nad wprowadzeniem projektu w życie. Kto za projektem, niech podniesie rękę. Widzę pełną jednogomyślność. Wniosek przechodzi więc w stadium realizacji.

\* \* \*

Cienie zwykłych śmiertelników też są zazwyczaj pospolite; jednakowo im szkodzi nadmierne, ze wszystkich stron oświetlenie, jak i jego brak zupełny. Lecz bywają też cienie ponad zwykłą miarę, rzecz można – solidne, niezmiennie dniami i nocą. Nie czeplają się wiecznie nóg właściciela, nie są natrętne, umieją zachować odpowiedni dystans, a w stosownej chwili wykazać się nawet odrobiną samodzielności. Właśnie ta ostatnia cecha zapewnia im przychyłność ludzi wielkich tego świata, których inwencja – oddając priorytet równie wielkim sprawom – gubi się często w tych przyziemnych i, jakże często, potrzebuje wsparcia.

W każdym razie gdyby zaszła konieczność poddania odpowiedniemu testowi postępowania Abrahama Nicollego, zapewne jego kwalifikacje na wiernego stróża przyziem-



nych poczynań generała Cameroną niewiele odbiegalyby od ideału, jako że i sam general był wcieleniem doskonałości.

Onegdaj w przemowie generała trafiła się taka maksyma: „W polu czasowego przeskoku ludzie dalej będą się rodzić, pracować

i umierać...”, a ludzie pokroju generała nie przywykli rzucać słów na wiatr, ot tak sobie, by nie wyciągać z nich wniosków. „Pracować i umierać” – to wspaniale, lecz nie sztuka zasiać tylko, ale sztuka żniwa doczekać. Przeto, co ważniejszym zausznikom przyznano

ordery i poczesne miejsca w machinie mającej budować potęgę kraju, a jedynie kilku najmniej z nich widocznym przyszło podzielić los generała, czyli doczekać przyszłości. General Cameron postanowił bowiem pod własnym sztandarem w odpowiednie miejsce skierować powstałą potęgę.

Abraham Nicolli rozmyślał o tym wszystkim, wsparty o reling przy burcie pełnomorskiego jachtu, wpatrzony w zielonkawą głębię wód oceanu. Jedyne lekka bryza marszczyła lustro wody, barwne ławice ryb przesuwały się w toni, widoczne zupełnie wyraźnie.

Spojrzał w stronę lądu.

Rybackie lepianki wtuliły się w strzępiastą linię drzew na krawędzi klifowego brzegu o wyraźnym rysunku żółtych i brunatnych warstw pokładów gliniastego gruntu. Nad wąskim językiem plaży panował niezym nie znącony spokój, tylko w niebie krążyły stada mew z czarnymi dziobami. Czasami któraś związała nagle skrzydła i jak biały błyskawca spadała w dół, aby ledwie musnąwszy grzbiety fal, poderwać się w powietrze z rybą trzepocącą w dziobie.

Słońce grzało niemilosiernie, a minuty wlokły się w żółwym tempie.

Nicolli zaczynał się już niecierpliwie i wtedy – błysnęło nagle, jakby na mgnienie oka promienie słońca załamały się w kryształowej sferze, i... znowu wszystko wrocilo do normy. Prawie wszystko.

Abraham Nicolli przetarł oczy nie dowierzając własnym zmysłom.

Hen, daleko, w sienie mgły oddalenia majaczyły jak olbrzymie radiolaria gigantyczne gmachy czy też rozrosłe na wszystkie strony fragmenty niesamowitej maszyny, która pięła się w niebo, nawisając nad lądem gęstwiną splecionych uzwojeń konstrukcji. Srebrzyste kolumny, których widok przyprawiał o zawrót głowy, łączyły się pajęczyną półprzezroczystych nici, ogniskowały w szklanych piramidach o podstawach dających początek rozjazdom zwężających się w perspektywie autostrad albo rurociągów, w których wnętrzu przetaczał się żywy puls mlecznych zgęstków w błękitnym osoczcu. Nie pozostał najmniejszy skrawek wolnej prze-

strzeni, niepojęte budowle rozrosły się na każdym kroku monstrualną gęstwiną i nawet w powietrzu unosiły się olbrzymie płaszczyzny z wielościanymi guzami nasadzonych symetrycznie pryzmatów, niezym skrzydła latających miast.

Nicolli gwizdnął z wrażenia.

– A niech to diabli! Stary miał nosa... wyszeptal. – Kto stawi czoło takiej potędze?

Z trudem oderwał wzrok od tego widoku fascynującego grą kształtów i barw, przy którym stalowe i szklane gmachy jego rodzinnego miasta, jakie zapamiętał, przywodziły na myśl byle jak skleczone slumsy. Jeszcze raz westchnął z podziwem i pędem ruszył w stronę generalskiej kajuty, układając w duchu słowa technicznych zaangażowaniem gratulacji.

W połowie schodów startł się piers o piers ze zdyszonym Banksem.

– Nareszcie, Nicolli! – Oczy radiotelegrafisty płonęły, a głos nie krył wzburzenia. – Natychmiast zimnej wody!

Weisnął mu do ręki plastikowy kubek.

– Wody? Po co?

– General. Trzeba natychmiast sprowadzić lekarza!

– Co się stało?!

– Przejąłem radiodepeszę. Na lądzie straszne rzeczy. Przepadł majątek generała, a żebyś ty wiedział... Oni nie rozumieją wcale, co to jest wojsko! Boże mój, co się na tym świecie dzieje!

Banks chwycił się za głowę.

– Wody, szybko zimnej wody! Staruszka trafi chyba apopleksja!

Nicolli spojrzał w kierunku lądu i zobaczył zbliżający się do stojącego na kotwicy jachtu niezwykle, latający wehikul, otoczony selektywnym świeceniem i bez jakiegokolwiek widocznego urządzenia napędowego.

Nie namyślał się długo. Kubeczek chlupnął daleko za burta.

Skończył do swojej kabiny, wyszarpnął spod koi walizkę i zaczął szybko ściągać mundur, aż strzelały złoczone guziki. Niezawodny instynkt podszeptal mu, że lepiej pokazać się tym z lądu w zwykłym, choćby i wyświechtanym nieco ubraniu.